

Ptasi pacjenci Pana Roberta

W gospodarstwie w Brzyskach pod Jasiem Robert Pogorzelski założył Ośrodek Rehabilitacyjny Dzikich Zwierząt „Puchacz”. Trafiają tu chronione gatunki ptaków (a czasem ssaków) po przeróżnych tarapatach i interwencjach, czasem te niechciane.

Przy kuchennym stole i w towarzystwie swych rozśpiewanych kanarków pan Robert opowiada, jak to się zaczęło, jak nabrało tempa i trwa do dziś. Rozmawiała Anna Woloszczuk (OTOP).



Foto: archiwum Roberta Pogorzelskiego

Wiem już, że Twoja pasja do zwierząt trwa od najmłodszych lat, może opowiesz, jak się przejawiała, zanim powstał ośrodek? To będzie długa opowieść?

Never ending story! (śmiech). Jak się przejawiała? Najpierw się przejawiała niekoniecznie miłością, bo cały czas męczyłem owczarka niemieckiego, ciągle na nim jeździłem i fascynowałem się tym, jakie ma fajne stojące, twarde uszy. I ten pies już później mnie unikał, bo ja nic, tylko za to uszy.

To było również wyssane z mlekiem matki, bo mama ogromnie lubiła zwierzęta. I babcia ogromnie lubiła zwierzęta. Pamiętam, jak do niej chodziłem, była kucharką na plebanii, i byłem zafascynowany indykiem. Jak pierwszy raz indora zobaczyłem: „Jakie to piękne!”.

Może miałem 4-5 lat, pojechaliśmy do Jasła z mamą, chyba wtedy miałem mieć migdałki usuwane, więc żeby mnie uspokoić, wzięła mnie do sklepu zoologicznego. I poleciał już (śmiech).

Wyszedłeś z kimś wtedy ze sklepu?

Pewnie, od razu dwie rybki! Pamiętam, niosłem je w słoiku, bo wtedy jeszcze nikt nie używał woreczków foliowych, to były chyba gupiki i welonka. Czyli wiesz, zestawienie dość niedobre, bo gupik zaraz zaczął welonkę ze śluzu obgryzać. Ale od tego się zaczęło, już tak poszło dość na bogato. W tamtym czasie dużo egzotyki miałem, tylko takiej powszechnej, jakieś papużki, zeberki, kanarki, mnóstwo ryb, to już się zaczęły koty, już psy, zaczęła się fascynacja psami, zwłaszcza tymi długouchymi. I praktycznie rzecz biorąc, wszystko szło w tym kierunku. Był nawet taki moment, że miałem bardzo pokazną hodowlę tych egzotyków wszelkiego rodzaju. Samych pawi, był czas, miałem 32 różne podgatunki barwne.

Ale wiesz, ta fascynacja naturą była od dziecka, chodziłem tutaj do lasu nad strumień. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy w nasch okolicach pluszcze były, jak wyciągały chruściki spod wody. Kolejny taki etap: wszystkiego, co żywe, chciałbym dotknąć, to takie, wiesz, naturalne. Kilka razy, zwłaszcza zimą, udało mi się złapać szczygła czy sikorę... A mój dziadek był strasznie anty wobec trzymania ptaków w klatce. Nie mówił nic o takich papugach, ale jak nieraz widział u kogoś szczygła czy czyżki, to go krew zalewała. I jego słowa będę pamiętał: „Po co to chytasz? A jakżeś chycał, to puść. Co innego, jakby to chore było, ladace, to co innego”. Wtedy, mogłem mieć z 8 lat, tak mi to utkwilo.

I tak się zaczęło, od takich prostych rzeczy, że gdzieś koguty się pobily, to im rany przemywałem, nie trzeba było, ale wiesz, od czegoś trzeba było zacząć. I stopniowo, jak jeszcze nie było tego nacisku na gatunki chronione, co chwilę ktoś coś znalazł, wiedział, że ja tych ptaków mam dużo, to tak podrzucali. Pamiętam, jaki byłem zafascynowany gołębiem grzywaczem, bo ich wtedy tyle nie było, to był taki gatunek typowo odosobniony od ludzi. Bardzo mi się podobał, już był u mnie chyba z pół roku, praktycznie całą zimą spędził i na wiosnę przez przypadek uciekł. I zaczął przylatywać. Pamiętam, jaką frajdę z tego miałem, że się uratował.

I to zaczęło takiego tempa nabierać, powoli, ale konsekwentnie cały czas do przodu. Później szkoła średnia, to jeszcze bliższe poznanie tych gatunków, kontakt przede wszystkim z ludźmi, którzy też to lubili. Praca w lasach, pracowałem też w sklepie zoologicznym, przez jakiś czas w gabinecie weterynaryjnym. I cały czas było coś takiego, że zejść z tej egzotyki, bo to jest komercja, a ja jestem raczej anty wobec zarabiania na zwierzętach: bez względu na to, czy to jest pies, kot, czy to jest krowa, czy kanarek. Uważam, że jeśli mam kupić coś żywego, to muszę za to

zapłacić duże pieniądze, bo tylko wtedy będę go szanował. A wiesz, takie za parę złotych, jak wypychali ci handlarze, to zapłaci 10 zł i co to jest 10 zł: zdechnie, nie zdechnie. Dlatego dużo też później trafiało niechcianych egzotyków. To papuga bez nogi, bez górnej części dzioba, tak że w pewnym momencie tego było mnóstwo, tylko to wszystko były kaleki. Ale żyły, prosperowały, więc stwierdziłem, dlaczego by nie zacząć naszych? Doświadczenie już miałem bardzo duże. Przede wszystkim uważam, że matka natura ma tyle lekarstw, że nie trzeba od razu chemii stosować. Nieraz tak słuchałem hodowców, oni mówią, że kroią marchewkę bażantom czy kaczkom. Pokażcie mi bażanta, który kopie za marchewką. Mówię: „Po co mu dajesz marchewkę?”. „A, no bo tyle witamin”. A jakie on pobiera witaminy? Jak potrzebuje witaminę C, to sobie czeka aż do późnej jesieni i spożywa nasiona pokrzywy. Jemu ona nie jest potrzebna, dajmy na to, w maju, on w maju potrzebuje innej diety, dużo zieleniny i dużo białka. Dlatego niektórzy to mnie tak nie do końca lubili, choćby za efekty hodowlane swoją metodą (śmiech). Później złapałem dużo kontaktów, więc nieraz było, że ktoś dzwonił: „A, panie, bo mam takiego, a znalazły dzieci, jakiegoś dzikuska, może by do pana przywieźć?”. „No to przywieźcie”. I całkiem to fajnie działało, aż do momentu, kiedy, jak to mówię, dobre uczynki nie idą w parze z prawem. Po rozmowie z panem Łukaszem Lisem z RDOŚ, który dokładnie wszystko mi wytłumaczył, jak to ma działać, nawet z zaangażowaniem do tego podszedł, wszystko się zaczęło, zalegalizowałem to i teraz jadę z koksem.

To ile lat ma Twój ośrodek?

Można powiedzieć, że jest bardzo młodym, full legal działającym – będzie 3 lata.

A ilu masz pacjentów rocznie, i czy to się zmienia z roku na rok, masz w tym roku więcej?

Coraz więcej.

Dlaczego tak się dzieje?

To jest uwarunkowane naprawdę wieloma czynnikami. I też, powiedziałbym, powstaje pewna cyklika gatunkowa o danej porze roku. Wiadomo, wiosna: wszystkie drozdowate, załatwia je przede wszystkim nadejście późnej, wrotnej zimy. One do nas przylecą już w marcu, zrobi się ciepłutko, ziemia ładnie odtaje, te zaczynają żerować, już samce śpiewają na szczytach drzew, a nagle spada 15 cm śniegu i tydzień się utrzymuje. A przecież takiemu drozdowi wystarczyłoby odgarnąć szuflę 4 mkw. śniegu i on na tym placu będzie sobie żerował. Tak samo szpaki, które przylatują. Kos jest w o tyle lepszej sytuacji, że jest przedstawiony już na zimową karmę, to jeszcze sobie ubiera nasion w karmniku czy coś. Chociaż widzę też, że ostatnio szpaki coraz więcej żerują w karmnikach.

Taka pierwsza fala to są właśnie wszystkie gatunki wczesnie przylatujące: czajki, wszystkie drozdowate, grubizna w postaci wracających myszolowów. Wiosną mniej jest sów. Silne osobniki zostają i gniazdują, a te, co były słabe, to jeszcze zimą zginęły. Przychodzi znowu maj, to wtedy przeważnie wszelkiego typu ofiary, związane z czym?

Potrącenia, bo i ruchomość ludzka się robi wtedy coraz większa. Rozbijanie się o ekrany. To jest już standard, jak się zieleń pokazuje intensywna, wtedy mamy dużo rozbitków. Te, co o ściany, to mówię: rozbitki, a te, co o szyby: to szybowce (śmiech). Elektrycy to wszyscy ci, co porażeni prądem. Zderzaki – czyli wszystkie, co z samochodami. W nietypowych miejscach, dajmy na to autostrady, jak gdzieś lądują, to mówię: kamikadze. Przeważnie lądadzie są kamikadze, bo lądują na mokrych szosach i często są potrącane. Wiadomo: okres podlotów też, chociaż staram się uświadamiać ludzi, jeśli chodzi o podloty, zwłaszcza jak przychodzi sezon na młode sowy. Zanim ktoś mi coś takiego przywiezie, to proszę o zdjęcie, jaki teren, skąd, gdzie i jak, mówię: odłóż, obserwować cały wieczór, czy coś przyleci, czy nie. Sowa, nawet młoda, jest w stanie wytrzymać 3 doby bez jedzenia. Jeśli rzeczywiście ona już kwili intensywnie i nikt nic nie widzi, to wtedy mówię: proszę zabrać i przywieźć do mnie. A zawałać się podlotami to jest troszkę nonsens. Bo zazwyczaj każdy z nich sobie daje radę na swój sposób i rodzice i tak go znajdą. A ważniejsze jest prawdopodobieństwo, że go elegancko odchowają rodzice, niż ja go będę tutaj na karmie zastępować.

Oprócz dzikich ptaków masz też hodowlane, jak one do Ciebie trafiają? Masz też w ośrodku ssaki, jakie to są historie?

Moje własne są 3 pary bażantów zlocistych, bo je po prostu lubię, to jest sentyment strasznie stary już. Jest paw, który ma 22 lata, który zresztą też jest kaleką, ale sprawne chodzi, funkcjonuje całkiem nieźle i cieszy się dobrym zdrowiem. Dużo ptaków miałem podrzuconych. Najgorsze jest to, że to ptaki, które wymagają rejestracji, dokumentów, i co wtedy z tym fantem zrobić? Niektórzy się wystraszą i stwierdzą, że żebym nie wiedział skąd, gdzie i jak, więc lepiej podrzucić karton.

To tak jak w schroniskach. Też podrzucają.

Tak, tak, tak, no i wiadomo, ptaki z przejęć, z interwencji powiatowych inspektoratów czy policji, czy nawet urzędów celnych. A co do innych zwierząt... dużo trafia, choć teraz mnie i tak odciążał ośrodek „Wiewiórka”. Przecież przyjmiesz jastrzębią, a nie przyjmiesz wiewiórki? To tak troszeczkę głupio, nie? Klóci się z sumieniem. Ośrodki w ogóle mają takie zasady, że mają wydzielone zgody na pewne kryteria gatunkowe czy pewne grupy ptaków. Ale co: przyjmę bielika, bo jest medialny, bo każdy o nim chce słuchać, a nie przyjmę dymówki?

A zdarzyło Ci się kiedyś, że musiałeś odmówić przyjęcia pacjenta?

Nie odmówiłem nigdy. Chociaż czasem wiedziałem, że sobie strzelam w kolano. W ogóle ja się dowiadywałem po czasie, wiele razy było tak, że ludzie szukali miejsca w ośrodkach, a tam im odmawiali, bo stwierdzili: po co komuś sroka, srok jest tyle. Miałem przypadek, że z Poznania państwo przyjechali ze sroką. Przez chwilę się zastanawiałem, co to za Poznań (śmiech). Trafiały się sarny. Nie biorę jedynie nietoperzy.

Czy zbyt trudno je odchować?

Nie. Nie mam warunków dla nich. Jak sama widzisz, nie mam pięknych gabinetów za paręset tysięcy złotych. Bo jak zawsze powtarzam, jeśli jest piękny duży ośrodek z pięknymi budynkami, pięknymi salami, to generuje niesamowite koszty. A wtedy te koszty przekładają się na to, że biorą mniej pacjentów. Więc ja wolę koszty poświęcić na większą liczbę pacjentów niż na ułożenie sobie pięknych porcelanowych płytek w pomieszczeniu. Takiemu gawronowi jest wesoło ryba, czy on ma płytki, czy panele.

A jak godzisz swoją pracę z pracą w ośrodku, czy ktoś Ci pomaga?

W ostatnim roku miałem dość dużo pomocników. O, nawet tutaj sam Krokodyl (pan Dariusz, sąsiad, który przysiadł się na chwilę, a pomaga z pracami fizycznymi w ośrodku – przyp. AW) też przyjdzie, pomoże, bo jednak mi lat nie ubywa, a obowiązków przybywa. A i tak w lecie to mi przecież brakuje dnia. To jest śmieszne, żeby ktoś chodził spać o jedenastej w nocy, a wstawał o trzeciej. Praca zawodowa: dobrze, że mam taki harmonogram pracy, ale też pracuję ze zwierzętami. Idę z pracy do roboty i wracam z roboty do pracy (*śmiech*). Ale jakoś to godzę, bo muszę. Nadal jest to wyrzeczenie, bo na wczasy sobie nie pojedziesz.

Coś tych ludzi do pomocy przybyło ostatnio, i takiej fizycznej, ale i finansowej też, bo jak Julia zaczęła prowadzić tego Facebooka, więcej ludzi się dowiedziało. Są plusy i minusy.

Więcej jest pacjentów?

Jest więcej.

To co, może nie róbnym wywiadu, kończymy (*śmiech*).

Nie, to nie przeszkadza. Na pewno jedno ludzie muszą zrozumieć. Ja prowadzę ośrodek, a nie pogotowie ratunkowe. Często jest tak, że ktoś dzwoni i mówi: „Proszę pana, proszę sobie zabrać – nie wiem – krogulca z podwórka u mnie”.

Jeszcze z daleka?

Jeśli ktoś mi dzwoni z Mielca albo, dajmy na to, z Sanoka, to już jest taka odległość, która pochłania za dużo czasu. Jeśli ktoś zadzwoni z Jasła, to okej. Ale ludzie nie rozumieją, że ja czasowo nie jestem w stanie tego ogarnąć. Co innego teraz, zimą, jak jest mniej roboty. A jak jest lato i masz, dajmy na to, 30–40 piskląt, które obrabiasz, to dajesz im jeść, idziesz wymienić wodę u reszty, wracasz, i to wszystko jest na otwartym dziobie. Jeśli przeciągnę to na te 4 godziny czy 5, to one są na tyle głodne, że mogą je zalać tym, że, dajmy na to, jadąc po jednego gawrona, o którym nie wiem, czy tak naprawdę przeżyje, mogą nieodwracalnie zagłodzić albo odwodnić 60 innych piskląt.

Czyli ludzie myślą Cię z karetką zwierzęcą?

Tak, ludzie mnie myślą z karetką zwierzęcą i mówią: „bo tu ma Pan swojego...”, a ja mówię: „nie, to nie jest mój, to jest tak samo mój, Pana, jak i całego świata”.

Ale przede wszystkim jest gros fajnych ludzi, którzy na własny koszt, z własnej chęci przywożą tego pacjenta w miarę szybko.

A jakie są fajne i piękne chwile w prowadzeniu ośrodka?

Jak się spotykamy z Marianem Stojem, obrączkujemy, dyskutujemy, śmiejemy się przy tym, powspominamy dobre czasy. Jak one już są obrączkowane, to wiem, że to jest jeszcze dosłownie kilka chwil czy maksymalnie godzin, że po prostu wyjeżdżamy w teren. Dużo ptaków, zwłaszcza drobnych, uwalniamy tu u siebie na podwórku. Natomiast z racji tego, że tu mam bardzo fajne tereny takiej naturalnej migracji, wiele gatunków mogę sobie praktycznie rzut beretem od domu uwolnić, bo mają zarówno tereny do żerowania, jak i polowań, jeśli chodzi o ptaki drapieżne. Zazwyczaj ludzie mówią, że tak kocham zwierzęta, że się będę nimi zajmował. A ja wychodzę z założenia zupełnie innego: muszę na tyle poznać zwierzęta, żeby mieć w ogóle szansę się nimi zajmować. W tej chwili mam 48 lat, ale przygotowywałem się do tego 40. Bo jak czasem słyszę, że ktoś prowadził hodowlę, dajmy na to, przez 2 lata i zjadł przez to wszystkie rozumy, to będę powtarzał, że ja mam 48, głupi się urodziłem i głupi umrę, bo każdego dnia uczę się czegoś nowego. I tak się nie nauczę wszystkiego. I to jest właśnie różnica – ja to traktuję jako pasję. To jest mój sposób na życie. Nieraz tak sobie myślę, czy bardziej ja dla nich, czy one bardziej dla mnie. A przecież też nie będę siedział tylko i wyłącznie przed telewizorem, bo chcąc żyć z pożytkiem dla siebie, trzeba żyć z pożytkiem dla innych. Więc to wszystko przerzucilem, swój czas, poświęcenie, no i pieniądze. W ostatnich miesiącach ludzie naprawdę dużo pomagali, ale w sezonie ośrodek generuje naprawdę duże koszty. Remonty wolier, stawianie nowych, już nie wspomnę o podstawowych środkach higieny, środkach odkażających... to jest cała lista Mendelejewa.

A jakie masz plany na ten rok?

Aniu, mówisz na rok, a jakim Ci zaczął plany na kolejny miesiąc... toby Ci się znudziło. Na cały rok... to ja sam się tym przerożam.

Zatem na miesiąc.

Teraz, jak zejdzie śnieg, to podstawa wszystko odkażać, nowe podsyпки, megasprzątanie, które pochłonę mnóstwo godzin i pracy. Przede wszystkim chcę dobudować co najmniej 10 takich dużych klatek, żeby można było je spokojnie oblatywać. Dla ptaka wielkości orla, bo mam taki wyznacznik, że jeśli bielik czy orzeł ma jak latać, to wszystko inne może szaleć w takiej klatce. To też generuje koszty, bo jak liczyłem, żeby nawet po taniociści zrobić, ale z dobrych elementów, to jest w granicach 8 tysięcy taka klatka. Żeby miała przynajmniej te 20 m długości i możliwość segmentowania w środku. Staw jeszcze chciałem jeszcze dodatkowo zrobić, wolnoodlotowy dla drobniejszych ptaków wodnych. I takie podstawowe remonty, których trzeba dokonywać co roku.

To jak konkretnie ktoś z zewnątrz może wesprzeć ośrodek, co może przynieść, czego nie przynosić, co może zrobić?

U mnie nic się nie zmarnuje, np. jeśli chodzi o artykuły żywnościowe – nie mówię dla siebie, tylko dla pacjentów.

Czyli np. kocia karma?

Kocia karma, psia karma. Są psy, które muszą pilnować pacjentów. Bo drapieżniki wbrew pozorom chętnie chłapię zostają z rannego bociana, który chodzi na wybiegu. Bardzo miłe widziana jest pomoc fizyczna wolontariuszy z początkiem wiosny. Od niedawna jest też uruchomiona zrzutka.

Mówiłeś, że w tym roku ani jeden pacjent nie ucierpiał z powodu fajerwerków, tego hałasu. Jak to osiągnąłeś i jak było w poprzednim roku?

W poprzednim roku, nie ukrywam, to było zdziwienie dla mnie samego, bo chyba nigdy jeszcze tak nie strzelali jak wtedy. A wszystko było dobrze chyba gdzieś do siódmej czy ósmej minuty. Jak zaczęli łać...! Sam refleks świetlny to pół biedy, ale to końcowe „bum”, niskie tonacje... Jeśli masz jednego ptaka i ci się spłoszy, to go nawet złapiesz w siatkę i przetrzymasz. Ale jeśli w ośrodku jest 50–60 czy więcej ptaków, to wyzwała reakcję łańcuchową i jeden się spłoszy, zaczyna lomotać skrzydłami, więc reszta ucieka, bo kojarzą, że pewnie drapieżnik jest w okolicy i poluje. Czasem to najsłabsze ogniwo, które jest lękliwe, przeżywa, a coś, co jest naprawdę silne i zdrowe, ale z racji swojej siły, jak się rozpędzi, uderzy choćby w osłonięte ściany (czy nawet, jak widziałas, u mnie są elastyczne siatki), to nie ma szans przeżycia. Przez to tamte sokoly takie piękne, ohar, gołębie... grzywacze pospadały jak sople z dachu. Po prostu błyskawicznie atak serca. Robiliśmy sekcję, zalane w środku krwią, pękło serce. To ja oni musiał stres przeżyć niesamowity!

I wtedy dziewięciu pacjentów straciłeś?

Dziewięciu, tak. Najgorsze jest to, że wszystko było do wypuszczenia, można powiedzieć, w dniach. I nawet sam stwierdziłem, że przetrzymam je przez sylwestra, żeby jeszcze nie panikowały. A efekt był, jaki był.

A w tym roku? Jak to zrobiłeś, że wszyscy przeżyli?

Na bogato, na wesoło. To, co się dało, do mniejszych klateczek, transportówek, żeby ograniczyć ruchomość. Może to nie było do końca etyczne, że sokołowi zakładam karnal na głowę, tak jak ptakom hodowlanym. I schowałem do piwnicy, siedziały na żerdkach, pod nimi znów inne drapieżniki, też trzeba było uważać, żeby się któryś nie zdenerwował, bo wtedy na ślepo jeden drugiego atakuje. Nawet żurawie i bociany miały skarpetki na głowach, żeby ograniczyć refleksyjność, bo żurawia sobie do pokoju nie wezmę. Więc ograniczyłem mu przestrzeń w pomieszczeniu i zużyłem większość swoich skarpetek. Chodziło o to, żeby ochronić głowę. Jeszcze jakby sobie obił bark, to odkaższ, ale jak przyłoi głowę ptak taki długoszy, niestety, efekty są nie zawsze dobre. Więc raz, że nawet taka śmieśna skarpetka ograniczała mu efekty wizualne, a dwa, że gdyby na ograniczonej przestrzeni próbował gdzieś uderzać (często jest tak, że ptaki napierają na ściany), to zawsze go chronila. I teraz śmieję się, że w tym roku ani jeden pacjent mi nie ucierpiał. Poza tym, że ucierpiał moje podłogi, bo aż brakło mi płynu od mycia wszystkich odchodów, bo jednak stres przekłada się na intensywność wydalania. Takiego szczyła czy kosa możesz wsadzić do

kartonowego pudełeczka na tych kilka godzin i nic się nie dzieje. To też się wiąże ze stresem, ale i tak ten stres jest mniejszy niż narażenie go na bezpośredni efekt świetlny czy hukowy. Pomimo tego, że miałem w tym roku więcej pacjentów na zimę, nie ucierpiał mi ani jeden.

Mieszkaż w Brzyskach od urodzenia?

Tak, od urodzenia.

Jak przyroda się zmieniła w tej okolicy przez tych 40 lat?

Na pewno ekosystem zmienił się dość drastycznie w momencie, kiedy powstały sztuczne zbiorniki wodne. Ale, jak to się mówi, matka natura nie lubi próżni, więc pojawiły się gatunki, których tu nigdy nie było, zwłaszcza ptaki wodne. Bo nawet biorąc pod uwagę koryto rzeki Wisłoki, zmieniło się niesamowicie. Kiedyś to była naprawdę potężna rzeka, wolniej płynąca momentami, innymi znowu bardziej rwąca, więc też ograniczało to możliwość żerowania wielu gatunków. Stojąca woda dała dużo efektu: w tej chwili nawet i migrujących jest bardzo dużo.

To nie zmienia faktu, że rokrocznie mamy coraz mniej nie tylko ptaków, ale ogólnie zwierząt. Jest o wiele mniej owadów, które są pokarmem dla większości ptaków. Praktycznie znikła wilga: za dzieciaka naśladowałem głosy samców, gwizdząc do nich melodyjnie „zofija”, i one praktycznie 2 m nad głową przelatywały. Teraz w sezonie widzę 2–3 samce. Owszem, jest więcej dudków, ich nie było. Ale tych dudków więcej jest, bo ludzie zawsze uważali, że to ładny ptak, zaczęły się chętnie gnieździć w budkach. Niemniej ubożejemy z roku na rok. Nawet jastrzęb, który był dawniej tak popularny, jednocześnie zniechęcony przez hodowców gołębi czy drobiu, uważam, że też się poprzemienił w inne rejony, bo dawniej na każdym podwórku były kury i gołębie, więc miał na czym żerować. Co prawda mamy grzywacza więcej, ale i tak trudniej jest złapać grzywacza niż gołębia, który się pasł w korycie.

To samo się stało z wróblem. Wróbel nie ma się gdzie gnieździć, wszędzie podbitki szczelnie poutykane, żeby czasem tam wiatr nie zawiał, gdzie ci wróbel wejdziesz? Przedtem w każdym korycie ziemianki parzyły z otrębami, a te wróble już z oklejanymi dziobkami tankowały młodziem, gdzie to teraz jest? Podejrzewam, że w promieniu 300 m jakbyś przeszła, to jedyne miejsce, gdzie są wróble, jest u mnie. Ale znowu pojawiły się oknówki, ich dawniej tyle nie było. Matka natura czymś zastępuje to wszystko, choć nadal jest ubogo. Ile szpaków jest mniej, ostatecznie lata suży też zrobiły robotę, ja u siebie w pracy obserwowałem, jak szpaki wylawiały kijanki z basenu, który wysychał. Tak sucha ziemia niestety nie pozwala im na to, by żerować, nawet rosy nie było rano. Więc lepszy rydz niż nic, musiał się przestawić na inną dietę. A jak ona na niego wpłynęła, to nikt nie wie. Ja tu nawet widzę często, jak zostają fragmenty mięsa, które sprzątam, i jak wynoszę to, trzymam na taczkach i później do worków daję do utylizacji, wystarczy 10 minut postoju, a wróble obgryzają kości z mięsa z fragmentów po drapieżnikach, a szpaki to porywają całe fragmenty.

Robert, dzięki wielkie za rozmowę!